

Kierat 2023

Po prawie dwuletniej przerwie kolejny raz wzięliśmy udział w mojej ulubionej imprezie długodystansowej. Wolę kiedy Kierat odbywa się co rok, człowiek za bardzo zapomina jak to boli. Poza tym wróciliśmy w maju, a to przyjemniejszy czas na takie wędrówki niż sierpień. Noc jest o 2 godziny krótsza i jest trochę cieplej. Do tego pogoda w tym roku okazała się wyjątkowo łaskawa.

W Słopicach stawiliśmy się w stałym składzie z Pawłem i Markiem kilka godzin przed startem. Trasa tym razem prowadziła dookoła Gorców i miała nas zameczyć dużą ilością przewyższeń. Szybko zauważyłem, że nie będziemy w zasadzie przechodzić przez żadną miejscowość, może oprócz Niedźwiedzia, ale to i tak miało nastąpić nocą. W związku z tym wiedzieliśmy, że ciężko będzie uzupełniać zapasy. Planem na ten rok była minimalizacja przerw. Zdecydowanie za dużo czasu spędzaliśmy poprzednio na "popasach". Na odprawie dowiedzieliśmy się, że wzorcowa trasa nie uwzględnia wchodzenia na teren Gorczańskiego Parku Narodowego. Chcąc tamtędy przejść musielibyśmy kupić bilety i trzymać się szlaków. W kilku miejscach zmieniliśmy więc na kolanie planowaną trasę. Przed startem trochę pokropiło, ale to wszystko, tym razem obyło się bez deszczu na trasie całych zawodów. Po ostatnim Kieracie to duża ulga móc maszerować w suchych butach.



Czas start!

Równo o godz. 18:00 czterystu zawodników i zawodniczek ruszyło na trasę. Marek od razu dołączył do biegaczy i zniknął nam z oczu. Szybkim marszem ruszyliśmy razem z

tłumem. Trasa początkowo prowadziła tak jak w 2021 roku w kierunku Łopienia, PK1 zaliczyliśmy po 3 km i 33 min.

Dalej nawigacja była bardzo prosta, więc nie patrząc na mapę poszliśmy za tłumem... i zrobiliśmy błąd! Kierunek się nie zgadzał, szliśmy na południowy-zachód zamiast północnego-zachodu. Żli na siebie zmieniliśmy kierunek i zaczęliśmy napierać na przełaj przez las stromo pod górę. Nie byliśmy sami, wokół inni zawodnicy kombinowali tak jak my. W końcu doszliśmy do szlaku rowerowego i przez Łopień Wschodni, obok Środkowego i dalej już planowanym wcześniej czarnym szlakiem dotarliśmy do PK2.



Zbieg między PK2, a PK3

Pilnując już teraz mapy, bez problemu marszobiegiem dotarliśmy do Jurkowa i niebieskim szlakiem zaczęliśmy podchodzić pod Ćwilin. We właściwym miejscu odbiliśmy w lewo i trafiliśmy do PK3, który znajdował się na skrzyżowaniu przy żółtym szlaku. Robiło się już ciemno i musieliśmy włączyć oświetlenie, ja testowałem latarkę na klatkę piersiową. Bateria miała wytrzymać 5 godz. Cały czas byliśmy w SMSowym kontakcie z Markiem, był 15 min przed nami.

Lekko podbiegając zeszliśmy do Wilczyc, przy kościele odbiliśmy w lewo i podeszliśmy do zielonego szlaku, którym minęliśmy Ostrą i trafiliśmy na PK4, gdzie przy ognisku od 20 min. czekał na nas Marek. Po ciemku wołał iść z nami.

Jak się później okazało mieliśmy inny pomysł na przejście kolejnego odcinka niż budowniczy trasy. Stwierdziliśmy, że na północy będą za duże wzniesienia, a do ścieżek na mapie mieliśmy wątpliwości. Poszliśmy w kierunku południowym obok kościoła w Łętowem, a później 400 m przed kościołem w Mszanie Górnej odbiliśmy na południowy zachód. Szliśmy ścieżką między polami na południe od wzniesienia Witów. Trzymaliśmy bardzo dobre tempo, nawigowało się łatwo, więc stwierdziliśmy, że był to dobry wybór trasy. Doszliśmy do głównej drogi przed Niedźwiedziem i łatwo dotarliśmy do PK5, gdzie

mogliśmy napełnić butelki z wodą i chwilę odpocząć. Nie za długo! Za nami 33 km i północ.

Na kolejnym odcinku poszliśmy na łątwiznę i wybraliśmy niebieski szlak do Olszówki. Liczyliśmy, że uda się ściąć drogę gdzieś w kierunku na zachód, ale ciasna zabudowa plus potok nie dały nam szansy. W centrum odbiliśmy na południe i idąc głównie asfaltem zdobyliśmy PK6.

Stamtąd dość oczywistym wariantem poszliśmy na południe do czerwonego szlaku, obok schroniska na Starych Wierchach i dalej zielonym zeszliśmy do PK7. Była godz. 2:48.

Według obsługi punktu 95% kieratowiczów szła dalej zielonym szlakiem, ale my już wcześniej zdecydowaliśmy się na przejście równoległą do niego drogą wzdłuż potoku. 4 km szło się bardzo dobrze, spotkaliśmy przysypiającego kieratowicza, dla którego był to już piętnasty start (pozdrawiamy!). Dołączył na chwilę do nas. Fajnie się szło i rozmawiało póki droga nie zamieniła się w wodny szlak. Weteran śmignął jak gdyby nic, a my dwukrotnie zwolniliśmy tempo i przez 2 km skakaliśmy z kamienia na kamień cudem nie mocząc butów. W końcu zdecydowaliśmy się odbić w ścieżkę na południe mocno pod górę. Zaczęło świtać, więc mogliśmy wyłączyć oświetlenie, moja latarka na klatkę wytrzymała całą noc! Za nami było 50 km i tylko 10 godz. No, no, czyżby jakiś rekord się szykował? Druga połówka to druga połówka, ale apetyty były. Doszliśmy do żółtego szlaku, ścięliśmy do niebieskiego. Paweł miał trochę inną wizję dalszego przejścia, więc chwilowo rozstaliśmy się i z Markiem zaczęliśmy zbiegać niebieskim szlakiem. Tak dobrze nam szło, że nie wiem jakim cudem przed dobiegnięciem do asfaltu odbiliśmy na północ poza szlak. Zauważyliśmy to dopiero po kilometrze i nie było już sensu wracać. Dobiliśmy do asfaltu dalej na północ niż planowaliśmy i zbiegliśmy do PK8 gdzie czekała niespodzianka w postaci bułek z serem!



Hop, hop po kamieniach

Posilaliśmy się i czekaliśmy na Pawła, który koniec końców też zbiegł niebieskim szlakiem. Nie pomylił drogi jak ja z Markiem, ale rozpędził się i mało brakowało, a minąłby punkt. Ruszyliśmy na czarny szlak, odbiliśmy w prawo za Grapą, poszliśmy przez Chorobowską (można było lepiej) i dobiliśmy do czerwonego szlaku, którym zesliśmy do Przełęczy Knurowskiej i dalej skrótem do PK9 - naszego ulubionego punktu, znanego z poprzedniego Kieratu. Tutaj spędziliśmy pół godziny, bo było gdzie usiąść i czego się napić, a i ekipa bardzo sympatyczna.



PK9

Stamtąd poszliśmy brązowym edukacyjnym szlakiem na Magurkę. Spore to było podejście i kamieniste, nie chciałoby mi się tędy włączyć tylko dla wieży widokowej. Zresztą i tak nie skorzystaliśmy, może kiedy indziej... PK10 zaliczone o 9 rano.

Skoro podejście na Magurkę od południa było strome to może od wschodu jest lepsze? Też nie, strome nieprzyjemne zejście, trochę zbiegaliśmy brązowo-zielonym szlakiem aż do asfaltu, gdzie znowu zaczęliśmy podejście. Odbiliśmy z zielonego w brązowy (przynajmniej wg mapy, bo oznaczeń w terenie nie zauważyłem) i dosyć stromym podejściem doszliśmy do pomarańczowego szlaku. Słońce mocno przypiekało, w nogach było już 80 km. Kiedy doszliśmy do zielonego szlaku i ławki powiedziałem "pas", musiałem zrobić sobie przerwę, a nie chciałem, żeby chłopaki na mnie czekali. Marek z Pawłem poszli w kierunku Gorca. Ja posiedziałem 20 min, planując początkowo odpocząć tylko 5. Kiedy wstałem, nogi miałem jak z betonu, ledwo mogłem zrobić krok, bolały mnie wewnętrzna strona ud i piszczyle. Zaciśnąłem zęby i krok za krokiem jakoś ruszyłem. Tempo spadło, ale nie było tragiczne, wahało się między 4, a 4,5 km na godz. A było tych kilometrów przede mną jeszcze 30 do mety... Pojawiły się myśli w stylu: "A może już starczy tych Kieratów...". W końcu doczołgałem się do PK11, 30 min za chłopakami.



Widok spod PK11

Łatwą drogą czerwonym szlakiem (rowerowym?) zszedłem na dół. W dół szło się gorzej niż pod górę, ale ja zawsze wołałem pod górę... Po dojściu do skrzyżowania odbiłem w prawo i tutaj napotkałem jedyną trudność w znalezieniu punktu. Poszedłem kawałek przez las, ale wydawało mi się, że zaszedłem za daleko. Wróciłem, zacząłem iść na przełaj, ale zawróciłem i koleżanka kieratowiczka powiedziała, że to jeszcze dalej, więc poszedłem za nią i miała rację, zaliczyliśmy PK12... i bułkę z serem.

Do Kamienicy schodziłem na czuja byle w dół trzymając kierunek. Trafiłem na asfalt i na główną drogę. Kieratowicze rozeszli się i szedłem długo zupełnie sam. Trochę liczyłem na jakiś sklep, colę, lody i inne cuda, ale ten odcinek był pusty. Jedynie stacja benzynowa pokazała się na horyzoncie i dodając sobie 1 km do całego dystansu zjadłem tam zimnego loda i napiłem się coli. Zawróciłem, przeszedłem przez rzekę i zacząłem wspinać się na Bystróż, ostatnią górkę na trasie. Wołałem to niż spacer po płaskim, a tym bardziej w dół. Dobiłem do PK13 o godz. 15. Paweł był tu godzinę przede mną, a Marek jeszcze 15 min wcześniej. Chłopaki szli na rekord. Ja w sumie też...

Dalej było dosyć stromo w dół, więc niefajnie. Odbiłem z czerwonego szlaku na Jasiennik i właściwie cały czas prosto, lekko pod górkę dobiłem do asfaltu przy Przełęcz Słopnickiej. Tutaj miałem nawet niezłe tempo, biorąc pod uwagę kilometrów. Odbiłem w prawo na szlak czerwony rowerowy i cały czas prosto kierowałem się na północ. PK14 pamiętałem z 2019 roku (wtedy też PK14), więc znalazłem go dużo szybciej niż wtedy i dużo wcześniej, bo o godz. 17.

Dalej droga była już prosta, kawałek przez las, przez pola i drogą do mety. Mijali mnie spóźnieni biegacze (spali czy kluczyli?) i rozpędzający się maszerujący. Zwykle ostatnie 5 km Kieratu biegnę, ale tym razem nie było na to szansy. O 18:09 zameldowałem się na mecie po 24 godz i 9 min marszu poprawiając poprzedni najlepszy czas o 2 godz. i 12 min! Wyszło 109 km (przez colę) i 4500 m przewyższenia.

Marek tymczasem wycisnął czas 22 godz 20 min, a Paweł niewiele za nim 22 godz 27 min! Chwilę musieli na mnie poczekać... Gratulacje chłopaki!

Dziękuję mojej drużynie, organizatorom i kłaniam się w pas wolontariuszom na punktach za uśmiech i dobre słowo. Dziękuję, że tam na nas czekacie! Do zobaczenia za rok!

Michał Mordarski